

LIRA  
WYDAWNICTWO

WERONIKA WIERZCHOWSKA

*Rodzinne tajemnice  
ukryte w gąszczu  
trujących roślin...*

*S*  
wiaty  
belladonna



*K*wiaty  
belladonny



WERONIKA WIERZCHOWSKA

*K*wiaty  
belladonny

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67915-94-6

# I

LATO 1868 ROKU, WARSZAWA

Adrianna Seliga leżała na łóżku porodowym i patrzyła na wielkie płyty farby odłóżającej z sufitu. Skupiła się na tym, by nie myśleć, co będzie, jeśli spadną wprost w jej krocze, właściwie w otwartą ranę, jaką było obecnie jej ciało. Z pewnością zgotowałyby jej gorączkę połogową i wysłały na tamten świat. Akuszerka Bukowska, jak się przedstawiła właścicielka lokalu, nie przejmowała się brudem w najmniejszym stopniu, tak samo jak tym, by choć wyszorować ręce przed odebraniem dziecka. Krzątała się przy łóżku i nuciła wesoło pod nosem. Dziś już odebrała jedno niemowlę i zaraz wyciągnie z klientki kolejne. I to jak łatwo! Ada bowiem nie była wymagająca i nie tkwiła w niby-klinice całymi tygodniami, co zdarzało się innym pacjentkom. Przyszła wczoraj i oświadczyła, że rankiem urodzi, zapłaciła z góry, i to bez gadania, po czym zgodnie z zapowiedzią o świecie zaczęła rodzić.

Sufit zaczął falować niczym coraz mocniej wzburzone morze. Ada widziała kiedyś równie niespokojne i groźne, z ojcem raz popłynęła do Londynu, gdzie ten został zaproszony do wygłoszenia odczytu. Wydawało się jej, że było to wieki temu, w innym życiu. Wówczas była panią z dobrego domu, córką słynnego profesora, szanowanego przez osobistości świata nauki w całej Europie. Świat stał przed nią otworem, wydawało się jej, że nic jej nie

zatrzyma i osiągnie, co zechce, wszystko wszak miała w zasięgu ręki. Marzyły się jej rzeczy wielkie, światła wielkich miast, błysk marmurów na posadzkach, panowie we frakach kłaniający się z szacunkiem, oklaski i uznanie, przede wszystkim dla jej intelektu. Była wówczas pewna, że to, iż nie przyjmują kobiet na uczelnie i nie dopuszczają do robienia prawdziwej nauki, to nieistotny drobiazg, z którym da sobie radę. Wówczas mogła wszystko i była pewna, że zdobędzie, czego zapagnie.

Jak to się stało, że teraz leżała w tej ponurej, obskurnej norze i nie miała wpływu zupełnie na nic, przede wszystkim na własne życie? W dodatku już nie tylko sufit falował, ale też ściany i pani Bukowska, która wiła się niczym wąż, zmieniała kolory i puchła. Jej twarz raz rosła, raz malała. Ada czuła pot spływający coraz obficiej po czole i szyi, szarpiące całym ciałem, powtarzające się skurcze, ale o dziwo, zupełnie nie cierpiała. Żadnego bólu, męki, żadnego strachu, dopadały ją co najwyżej mdłości. Nic dziwnego, wlała sobie do gardła solidną porcję morfiny rozpuszczonej w alkoholu, by cały ten okropny zabieg przeszedł bez tortur. Wczoraj wieczorem zaś przyjęła ekstrakt z wiesiołka i olej szałwiowy. Powinny były wzmocnić, może nawet zainicjować skurcze, to dzięki temu wiedziała, że rankiem zacznie się akcja porodowa. Zdaje się jednak, że zmieszanie kilku substancji aktywnych, w dodatku w jej stanie, wywołało jakiś dodatkowy efekt. To się zdarzało, nie było co teraz załamywać rąk.

Musiała wytrzymać i po prostu wydalić z siebie ten twór, to ciało obce. Nie chciała w nim widzieć żywej

istoty, która kiedyś zacznie czuć i myśleć, która była ciałem z jej ciała, krwią z jej krwi. To był intruz. Stworzony przez potwora, przez jej męża, Witolda Seligę. Wyszła za niego, zmuszona przez sytuację rodzinną, nigdy go nie kochała. Myślała, że jakoś się im ułoży, że się porozumieją, byli przecież cywilizowanymi ludźmi, ale on od początku traktował ją jak własność. Jakby była jeszcze jedną kobyłą w jego stadninie. Kiedy mu odmówiła raz i drugi, sprzął ją palcatem do popędzania konia, potem zgwałcił. Nie raz i nie dwa, robił to, aż zaszła w ciążę. Po to ją sobie kupił, by rodziła mu następców, przyszłych panów na włościach, dziedziców rozległych dóbr i spuścizny zamożnego ziemiańskiego rodu. Trzymał ją w zamknięciu i doglądał jak cennej klaczy. Kiedy brzuch jej urósł, bił tylko czasem, by podkreślić swoje władztwo, by ją odcwycić i okiełznać.

Uciekła. Znienawidziła go całym sercem, poprzysięgła mu zemstę, głównie zaś to, że nigdy się nie podporządkuje jego woli. Wiedziała, że ma niewiele czasu, że w Warszawie też ją znajdzie. To była kwestia kilku dni, miał wszak ludzi, pieniądze, a przede wszystkim niezachwianą pewność siebie, przekonanie o swojej sile i mądrości. Bestia, bezlitosna i pozbawiona cienia empatii oraz szacunku do słabszych. Szkoda, że wcześniej trzymał ją skrupowaną i nie była w stanie o czasie spędzić płodu ziołowymi specyfikami. Teraz musiała urodzić to dziecko, cień potwora. Nie zamierzała jednak nawet na nie spojrzeć, nie zamierza wziąć do rąk i przytulić.

Znalazła adres akuszerki w gazecie, było ich tam kilka. „Bukowska z ulicy Bednarskiej przyjmie osoby

spodziewające się słabości. Ścisła dyskrecja, troskliwa opieka, umieszczenie dziecka w cenie piętnastu rubli”. Prosto i bez ogródek. Mnóstwo kobiet rodziło w takich mieszkaniach akuszerki jak to, udających kliniki położnicze, w tajemnicy i dyskrecji, by potem za opłatą zostawić dziecko i pójść sobie, wolne i wypełnione wielką ulgą. Na wszelki wypadek Ada dopilnowała, by zupełnie nic nie czuć, by nie odezwały się w niej matczyne instynkty. Dlatego szpitalik wirował jej coraz bardziej i falował niczym wzburzone morze. Nawet nie wiedziała, kiedy dziecko z niej wypadło, po prostu nagle zaczęło kwilić. Odetchnęła, to już koniec, zaraz będzie wolna.

— Jeszcze jedno! — ucieszyła się akuszerka. — Będą bliźnięta! Niestety opłatę za umieszczenie muszę naliczyć podwójnie.

Ada tylko skinęła ręką, by podać jej torebkę. Pięć rubli za pokój, pięć za poród i trzydzieści za pozbycie się dwójki dzieci. Masa forsy, robotnica szwalni musiałaby pracować na taką kwotę ze cztery miesiące.

— Będę łożyła więcej na ich utrzymanie, ale nie zostawię do siebie kontaktu. Odezwę się, kiedy będzie dogodna pora. — Włożyła duże ruskie banknoty w chciwą dłoń akuszerki, ale przytrzymała ją za nadgarstek. — Nie dopuścisz, by cierpiały, jasne?

— Co też, pani szanowna? Zawsze umieszczam dzieci w dobrych rodzinach, proszę się nie martwić, będą miały przyzwoite życie. Och, zdrowiuchne, chłopczyk i dziewczynka!

Ada odwróciła głowę, by nie patrzeć. Twarz Bukowskiej powiększała się, rosła niczym balon, wypełniała niemal cały pokój.

— Jak im dać na chrzcie?

— Miał być Florian lub Flora. Na cześć kwiatów, roślin... Rzymska bogini kwiatów tak się nazywała, nie wiem, czy można dać dziecku takie imię na chrzcie.

Akuszerka pokiwała głową, nie patrząc na położnicę, zajęta była myciem i przewijaniem niemowląt. Poruszała się szybko, wyćwiczonymi ruchami. Wiła się jak wąż, a cały świat wokół falował i burzył się niczym podczas sztormu.

## II

WIOSNA 1877 ROKU, WARSZAWA

W mieszkaniu państwa Pawłowskich, na drugim piętrze kamienicy na Chłodnej, pachniało dziś mydlinami i rosołem. Były to aromaty typowo niedzielne: bulgocząca leniwie w garnku kura, gorące żelazko, którym gospodyni prasowała rzeczy na jutro, oraz para unosząca się z miski. Głowa rodziny, pan Józef, rozebrany aż do singletu na ramiączka, stał nad miednicą pełną parującej wody, by pędzlem do golenia, maczanym w puszcze z rozdrobnionym białym mydłem, pokrywać sobie twarz grubą warstwą gęstej piany.

Dziewięcioletni Florian siedział obok i patrzył na ojca wielkimi, wiecznie zdziwionymi oczami, dziś dodatkowo wypełnionymi powagą i skupieniem. Był znacznie roślej-szy od chłopców w swoim wieku, zanosilo się na to, że wyrośnie na wielkiego chłopca, silnego jak tur. Niestety nie grzeszył przy tym bystrością umysłu, najbardziej lubił w milczeniu bawić się drewnianymi konikami i lokomotywą, zrobioną własnoręcznie przez Józefa. Zachowywał się nadal niezwykle dziecinnie i musiał długo myśleć, zanim wykonał polecenie lub coś powiedział.

Florka była oczywiście znacznie drobniejsza od brata, za to ona zagarnęła całą inteligencję przeznaczoną dla nich obojga. Bliźniaki były jednak do siebie wyraźnie podobne, oboje mieli płowe czupryny i stalowe oczy,

chłodne i świdrujące. Dziewczynka stała przy misce i wkraplała do parującej wody po kilka kropel wody kołońskiej i wody różanej, jedyne kosmetyki, którymi posługiwał się Pawłowski. Pozwalał na to córce, wiedział, że mała lubi takie rzeczy i jest bardzo uważna, nie uroni ani kropli, za to dobierze ich tyle, ile trzeba. Nie za dużo i nie za mało, w sam raz, by po ogoleniu się Józef miał w misce doskonały likwor do splukania twarzy, zmycia mydlin i jednoczesnego jej nawonienia oraz odświeżenia. Nawet jeszcze jutro przed świtem, kiedy pomaszeruje do pracy, będzie się czuł, jakby wyszedł prosto z wytwornego zakładu fryzjerskiego.

Chłopak sięgnął po leżącą w drewnianym pudełku brzytwę, ale ojciec prasnął go pędzlem po dłoni i parsknął śmiechem.

— Jeszcze nie musisz się golić, kawalerze. Cierpliwości, przyjdzie i na to czas, teraz mógłbyś tylko zrobić sobie tym krzywdę — powiedział i poczochnął syna po głowie.

— Przydałybyście się do czegoś, zamiast przeszkadzać ojcu. Jutro ma podróż służbową, jedzie aż do Terespoła, dajcie mu się spokojnie ogolić — odezwała się Maryła, niemal niewidoczna zza kłębow pary buchających z prasowanej koszuli. — Weźcie koszyki i migiem na dół po drewno i węgiel. Tylko nie kłóćcie się z dzieciakami na podwórku, bo Walendziakowa znów mi będzie głowę suszyć. Jeszcze mi przyjdzie płacić za nosy rozkwaszone przez Florka, skaranie boskie z tym chłopakiem.

Maryła marudziła, znów bolały ją plecy, pół nocy nie mogła przez nie spać. Rwało ją na wysokości nerek i na nic nie pomagały okłady ani wypite mleko makowe,

zwykle kojące boleści i zapewniające głęboki sen. Dzieci ją drażniły, ale to się nie zmieniało niezależnie od stanu jej zdrowia. Nie mogła sama urodzić, doktory mówiły, że ma coś nie tak z drogami rodnymi, zgodziła się więc przyjąć znajdy, bo Józek nalegał, ale nigdy jakoś nie zapałała do nich mocniejszym uczuciem.

Teraz, kiedy chłopak robił się problematyczny, jej cierpliwość jeszcze bardziej topniała. Przy byle okazji goniła dzieciaki na dwór lub ze sprawunkami, byle nie musieć znosić ich obecności w domu. Flora wydawała jej się zbyt poważna i delikatna niczym królewna, nie pasowała do robociarskiej okolicy. Z kolei Florian był tępy, upartym tumanem o wielkich dłoniach i uporze byka. Nie chciała ich, liczyła, że niedługo, kiedy skończą szkołę elementarną, pośle się je do roboty. Chłopaka ojciec zabierze do warsztatów kolei, osiłek przyda się tam do pomocy. Małą da się na przyuczenie do krawcowej, może nada się do fabrycznej szwalni, potrafiła być przecież niezwykle dokładna.

Gdy bliźniaki wybiegły z mieszkania, Józef spojrzął na żonę z wyrzutem. On przybrane dzieci kochał całym sercem, od pierwszego dnia, kiedy wzięli je od akuszerki. Dużo pracował, był urzędnikiem kolejowym, pnącym się mozolnie po szczeblach kariery. Chciał spędzać z dziećmi jak najwięcej czasu, lubił się bawić konikami z Florkiem i czytać na głos Florze, a potem z nią rozmawiać o lekturze. I nieważne, czy studiowali razem gazetę, podręcznik do przyrody, czy powieść francuską, zawsze mieli mnóstwo zagadnień do omówienia. Józef chciałby wysłać Florę do pensji dla panien, stać ich było, poza tym prawdziwa

matka dzieci czasem przesyłała pewne sumy. Musiał to jeszcze przedyskutować z żoną.

Dzieci zbiegły po schodach, jak zwykle galopem, skacząc po kilka stopni. Flora uciekała przed bratem, zwinniejsza i szybsza, on z kolei gnał z łomotem, mruczał przy tym niczym niedźwiedź. Wypadli na podwórko studnię, okoloną skrzydłami kamienicy zamykającej się w pierścień. Było chłodno, nie bawiły się tu dziś dzieci, nie kręcili się domokrażcy, szlifierze noży, sprzedawcy okazji „z ręki” czy choćby katarzyniarz. Stróża też nie był widać, pewnie spał w swojej kanciapie, ululany wódką.

Bliźnięta, wymachując koszykami na opał, przebiegły przez podwórko i klatką schodową przedostały się na tyły kamienicy, gdzie znajdowały się budynki gospodarcze, studnia, latryna i śmietnisko. Tu się zatrzymały, zdyszane i zaskoczone, bo przed drewnutnią siedziało czterech chłopaków. Trzej z kamienicy, zasmarkani synowie robotników z niedalekiej stalowni, oraz ich herszt, trzynastoletni Zbychu z budynku po drugiej stronie Chłodnej. Palili papierosy i gapili się na Zbycha, który nosił się już jak prawdziwy andrus z okolic pobliskiej Hali Mirowskiej.

— Jest i nasza błada zaraza oraz jej przygłupi braci-szek — powiedział Zbych na widok przybyłych, po czym splunął.

Bliźniaki zwracały na siebie uwagę nietypowym wyglądem, ich niezwykle jasne włosy i rybie oczy o zimnej barwie ściągaly na siebie wzrok. Wszędzie zaś musiały znaleźć się ofiary do dręczenia, ktoś, kogo można uważać za gorszego i wyładować na nim złość. Zwykle

instynktownie wybierano kaleki, osobniki słabe, niepotrafiące się bronić, czasem innowierców lub obcych przybyszy, kogoś niepasującego do ogółu. Tak jak w sforze wilków osobnik chromy był przepędzany lub zagryzany, tak i na podwórkach rozprawiano się z odmieńcami. W tej okolicy padło na dwie znajdy, właściwie przypadkiem, może z braku innych ofiar. Flora wydawała się łatwą zdobyczą, jej nierozgarnięty brat jeszcze łatwiejszą. Florian jednak ostatnio przyłał chłopcom, którzy ciągaliby jego siostrę za włosy i umazali jej sukienkę końskim łajnem. Musiał się bronić, choć nigdy jeszcze nie stanął przeciw prawdziwemu andrusowi, ulicznemu rozrabiacze, w dodatku kilka lat starszemu.

— Chcemy tylko wziąć opał — powiedziała Flora i podeszła powoli.

— Bękarty. W dodatku brzydkie jak zdechłe ryby — dodał chłopak i ruszył im naprzeciw.

Flora uniosła brew. Bękarty? Pół dzielnicy było dziećmi z nieprawego łoża lub z rozbitych rodzin. Mało też który mieszkaniec był piękny, zarzuty były zatem raczej naciągane. Bała się jednak, bo widziała, jak kipi w nim złość, ale Flora nie uciekła, powoli kroczyła przed siebie. Nie chciała wracać na górę bez węgla i wysłuchiwać połajania matki, poza tym w brzuchu drążył ją robak przekory, jakiś wewnętrzny nakaz, by się postawić. Zbych uśmiechnął się złośliwie i zastąpił jej drogę, jednocześnie wyciągnął z przykrótkich portek majchra — brzydki nóż z blaszanego płaskownika.

— Nigdy się nie uśmiechasz, zarazo. Zaraz ci poprawię buźkę, poszerzę ten uśmiech. Będzie trochę bolało,

ale co tam, dla piękności trzeba cierpieć — zarechotał rozbawiony własny pomysłem.

Jego trzech wyznawcy, zachwyceni i ośmieleni, podszli bliżej, po czym oskrzydłili Florę, by nie mogła uciec. Zbych machnął jej nożem przed twarzą, aż świsnęło zło-wieszczco. Bawił się, tylko straszyl, wiedziała o tym, ale i tak czuła się paskudnie i miała wrażenie, że w gardle rośnie jej gula łez. Andrus zrobił krok i machnął jeszcze raz. Florek, stojący z tyłu, nagle odepchnął siostrę i złapał za ostrze. Zatrzymał je jakimś cudem, ale stał rozplątała mu wnętrze dłoni. Spojrzał na nią ze zdumieniem — bolało, paliło zimnem, by po chwili gorąca krew popłynęła obficie i zaczęła kapać na ziemię. Flora krzyknęła.

— Co żeś zrobił, draniu! Zraniłeś go!

Złapała brata za ramię, chciała go odciągnąć.

Zbych stał mocno zaskoczony, ale i coraz bardziej zadowolony. Widok krwi podzialał na niego jak na gończego psa — złapał jej zapach i pomyślał, że fajnie byłoby zanurzyć ostrze w ciele jeszcze raz. Wiedział, że dziś zdobędzie wielki respekt na ulicy, właśnie stał się prawdziwym nożownikiem, posunął frajera majchrem.

Nie zdążył zrealizować pomysłu, by uderzyć po raz kolejny. Florian zacisnęła krwawiącą dłoń w pięść i bez sygnalizowania czy brania zamachu prasnęła nią wprost w usta andrusa. Mimo że był od niego cztery lata młodszy, rozmiarami się właściwie nie różnili, miał też więcej krzepy. Jego pięść zmiażdżyła usta Zbycha, te wybuchnęły krwią. Chrupnęły mu wylamywane zęby. Andrus padł na klęczki, od razu plunął pokruszonymi zębami. Florian się pochylił, złapał go zdrową ręką za kark i zmusił do

uniesienia głowy, po czym z nieruchomym, jakby pozbawionym emocji wyrazem twarzy grzmotnął go jeszcze raz. I kolejny.

Flora znów krzyknęła, ale tym razem na brata. Uderzał metodycznie, jakby zamierzał zamienić twarz ofiary w krwawą miazgę. Skoczyła mu na plecy, objęła ramieniem szyję i w ten sposób zmusiła, by odstąpił. Trzech gagatków pierzchnęło w popłochu z wrzaskiem, jakby ich sami diabli gonili. Na ziemi został ledwie przytomny, plujący krwią i zębami Zbych. Załkał i na czworaka ruszył do ucieczki, nikt go jednak nie gonił.

— Dlaczego? Co cię napadło, Floruś? Na litość boską, mało go nie zabiłeś! — Flora ciągnęła brata za rękaw, byle dalej od ofiary.

— Zezłościł mnie. Boli, ręka mnie boli, boli, boli — potarzał, przyciskając zaciśniętą pięść do brzucha. — Mama będzie zła?

— Pewnie tak. — Flora kiwnęła głową. — Zabiorę jednak trochę węgla, by się nie piekliła. Ty leć, trzeba opatrzeć ci rękę. Aha, jeszcze jedno, to nie jest nasza prawdziwa mama.

### III

#### JESIEŃ 1877 ROKU, GĄBIN

Świnia wbiegła pod koła pocztowego dylizansu ledwie pół wiorsty przed dotarciem pojazdu do celu. Do stacji pocztowej w Gąbinie, znajdującej się zresztą w pierzei rozległego rynku, mieli ledwie kilka minut jazdy. Woźnica powoził w całkowitej trzeźwości, co było zjawiskiem dosyć rzadkim w jego fachu, konie zaś wciąż były niespecjalnie zmęczone po kursie z odległego o czterdzieści wiorst Sochaczewa. Może dlatego rwały dosyć rażno i landara toczyła się i podskakiwała wesoło na bruku niczym młode źrebie. Woźnica nie miał szans, by zatrzymać się w porę, szczególnie że świnia wypadła z obejścia, jakby gonił ją rzeźnik z nożem do szlachtowania, i z impetem wpadła koniom wprost pod kopyta.

Kwik, rżenie przerażonych koni, łomot paczek wałających się na głowy pasażerów i krzyk tychże. Woźnica odruchowo zaciągnął hamulec, ale od razu tego pożałował. To była tylko świnia i gdyby po niej po prostu przejechał, nie naraziłby ludzi na uszkodzenia ciała. Teraz nie wiadomo, czy nie będzie odpowiadał za nadmierną prędkość i niezachowanie stosownej ostrożności w terenie miejskim. Zeskoczył z kozła, na co świnia się poderwała, najwyraźniej nadal w pełni sprawna, wyskoczyła spod kół i popędziła w dalszą drogę, salwując się ucieczką w kierunku rynku. Drzwi powozu się otworzyły i ze środka

wyrzał trzynastoletni, piegowaty niczym indycze jajo chłopak o brązowej, roztrzepanej czuprynie.

— Ksiądz dostał w głowę i zemdłał, trzeba doktora! — oznajmił.

— A reszta? — spytał woźnica.

Dopiero wówczas sobie przypomniał, że wioził tylko dwóch pasażerów — młodego wikarego i tego piegowatego szczeniaka, poza tym samą ekstrapocztę. Nie zwrócił uwagi na lament kobiety, która wybiegła z obejścia przerażona tym, co zrobiła jej świnia, zaciął konie i pognął do rynku. Tam, jak wiadomo, znajdowało się bijące serce każdego miasteczka. Ratusz, karczma, kowal, kościół z plebanią, apteka, składy towarowe i doktor. To właściwie zestaw obowiązkowy, bez którego żyć się nie dało i żadna prowincjonalna miejscowość, próbująca utrzymać status miejski, istnieć nie mogła.

Akurat trwał dzień targowy i mimo że siąpił deszcz, na rynku kręciła się masa ludzi. Wyrosły stragany, ale najczęściej handlowało się z wozów, głównie płodami rolnymi i wyrobami gospodarstw kobiecych, czyli serami i przetworami, haftowanym materiałem, koronkami, obrusami, pościelą i tym podobnymi dziełami rąk gospodyń wiejskich. Dyliżans musiał zwolnić, woźnica zaczął gromkim głosem dopytywać o doktora, a kiedy mu wskazano jego dom, rykiem utorował sobie drogę przez ciżbę i stanął przed samymi drzwiami. Po chwili razem z chłopakiem wyciągnął wikarego z powozu. Woźnica trzymał go pod pachy, młody za nogi i tak wnieśli nieprzytomnego nieszczęśnika do domu doktora. Od razu zakłębiło się od gapiów i ciekawskich nowin — takie wydarzenie to

było coś, wszyscy czekali na podobne afery. Oczywiście współczuli poszkodowanemu, ale gdyby ten umarł, to by dopiero było o czym gadać. Co najmniej do Bożego Narodzenia nie schodziłoby to z ust miejscowych. Szczególnie że wikary przybył, by pomagać staremu proboszczowi i pewnie z czasem zająć jego miejsce. A tu coś takiego! Zabity przez wystraszoną świnie. Trochę jak męczennik za wiarę, choć nie tak do końca.

Do sieni doktorowego domu, który na co dzień służył za poczekalnię, wtargnął jakiś wyjątkowo rosły mężczyzna, właściwie olbrzym. Piegowaty chłopak, który z wóznicą czekał z przejęciem na wynik reanimacji wikarego, przebiegł wzrokiem od wypastowanych na glanc butów do konnej jazdy, przez bryczesy, myśliwską kurtkę, aż do srogiej twarzy wielkoluda. To nie jakiś byle parobek od ciężkiej roboty — intruz odziany był co prawda w strój myśliwski, ale najwyższej jakości, czysty i skrojony na miarę. Po postawie i pewności siebie od razu dało się poznać w nim dziedzica.

To był bez wątpienia Witold Seliga, ziemianin i jeden z najbogatszych właścicieli w Ziemi Gościnińskiej. Chłopak nie widział go wcześniej, ale ojciec dokładnie opisał mu tego drania. Młodzieniec przyjechał właśnie do niego, ale spodziewał się, że do dworu będzie musiał maszerować piechotą lub z Gąbina odbierze go parobek. Kto to widział, by dziedzic osobiście się fatygował po syna jednego ze swoich rządców i plenipotentów. Po nikogo ważnego.

— To ty, młody? Syn Dańdy? — Seliga położył mu wielkie łapsko na ramieniu.

— Tak, Konrad Dańda, panie dziedzicu. — Chłopak pokiwał głową. — Właśnie czekamy, co powie lekarz. Ksiądz bardzo krwawi z rany na głowie, spadł mu kufer, kiedy...

— Ale co cię właściwie obchodzi, co się z nim stanie? Poznałeś go dziś, w powozie. Pojawił się w twoim życiu niczym przelotny wiatr, przemknął dalej, bez znaczenia, niczego nie ucząc, nic nie znacząc. Czy go Bóg do siebie dziś wezwie, czy nie, jakie to ma znaczenie? Od dziś jesteś moim podopiecznym i skupisz się wyłącznie na tym, co ci wskażę. Będziesz mi bezwzględnie posłuszny, niczym dobrze ułożony myśliwski pies. Choćby ci krwawiąca sarna przemaszerowała przed samym nosem, nawet nie drgniesz, nie mrugniesz, dopóki ci nie rozkażę.

Konrad spojrział ze zdziwieniem w zimne, stalowe oczy olbrzyma. Nie tylko nie było w nich śladów ciepła, ale też żadnych ludzkich uczuć. Tak musiały wyglądać oczy rekina, bestii z lodowatych, mrocznych otchłani. Nie śmiał zaprotestować, zresztą ojciec nakazał mu być posłusznym dziedzicowi i robić, co ten sobie zażyczy. Tak w ogóle to Konrad nie miał pojęcia, czegoż od niego chce ktoś tak ważny i bogaty. Po co mu nic nieznaczący chłopak?

Zabrał z dyliżansu swoje rzeczy, czyli jeden kuferek podróżny, i wrzucił go na tył dwukółki należącej do jaśnie pana. Chłopak wychował się na wsi i trochę miał do czynienia z końmi, od razu więc jego uwagę przyciągnęły dwa zaprzężone do powozu. Były to piękne, wielkie konie o siwej maści, postawie dworskiej i dumnej oraz charakterystycznym łbie o zaokrąglonym nosie.

— To kladruby, prawa? — zwrócił się do dziedzica, gładząc jednego z koni po szyi.

Dziedzic skinął głową i jego usta wykrzywiły się na chwilę w nieznacznym uśmiechu.

— Podobne do lipcanów, ale jeszcze masywniejsze. Powstały z polecenia cesarza Maksymiliana jako ciężkie konie karetowe i pod wierzch dla cesarskich kirasjerów — wyjaśnił. — Mam do nich słabość. Jedną z niewielu.

Konrad pomyślał, że tylko tak wielkie i masywne konie pasują go jegomościa postury dziedzica, ale nie powiedział tego na głos.

Po chwili jechali przez rynek, dziedzic patrzył z góry na kłaniających się i schodzących z drogi wieśniaków, ale żadnemu nie odpowiedział. Skierowali się na zachód od miasta, szybko wyjechali na polną drogę, ciągnącą się po mazowieckiej równinie, piaszczystej i chętnie porastającej sosnowym lasem. Siąpił deszcz, ale było dość ciepło, chłopakowi nie przeszkadzało nawet to, że powóz nie ma budki chroniącej przed wilgocią.

— Czy mogę o coś zapytać, panie dziedzicu? Dlaczego mnie wezwaliście i na jak długo? Czy wrócę do domu, zanim szkoła zacznie się na całego? Inaczej narobię sobie zaległości i nasz nauczyciel będzie mnie ćwiczył linijką po łapach, ech... — westchnął ciężko.

— Nie musisz się tym kłopotać, kawalerze. Będziesz się uczył we dworze, w Kaszlewie. Najmę do ciebie guwernanta z pobliskiej szkoły i sam też się tobą zajmę jako nauczyciel życia czy może treser, jak zwał, tak zwał. — Dziedzic powoził od niechcienia, trzymał lejce jedną ręką i właściwie nikły w jego wielkiej dłoni. Mimo to konie

szły równo, wysoko unosiły nogi w dworskim stępie. — Czemu tu jesteś? Bo twój ojciec zdradził mnie, oszukał i okradł. Zarządza moimi udziałami w Żyrardowie, obraca materiałami włókienniczymi w moim imieniu. Przyłapałem go na machlojkach, robieniu interesów za moimi plecami, moimi pieniędzmi i nieumieszczaniem rozchodów i przychodów w księgach. Zarabiał na mnie, przynosząc mi przy okazji straty, i zrzucał to na pazernych Żydów. Oczywiście, bo na kogóż innego? Złapałem go za rękę na gorącym uczynku. Myślę, że wykręcił na mnie kilkanaście ładnych tysięcy.

Konradowi stanęła przed oczami postać ojca z ostatnich dni. Jego zgarbiona sylwetka i twarz o oczach pełnych strachu. Wyglądał wówczas jak zaszczute zwierzę, właściwie jak szczur zagoniony do rogu przez kocura, który zaraz go zagryzie.

— Mógłbym wysłać go do więzienia, ale co mi po tym? Musiałbym szukać nowego rządcy. Wolę, by Dańda wszystko odpracował i przyniósł mi zyski. Ty stanowisz zabezpieczenie.

— Jestem zakładnikiem? — Konrad spojrział z ukosa na wielkoluda.

— To zwyczaj jeszcze z czasów rzymskich, chłopcze. Jeden z cesarzy, kiedy pokonał w wojnie zbuntowanego germańskiego wodza, nakazał, by jego syn przybył do Rzymu i wychował się na cesarskim dworze. Nie dość, że zabezpieczył się przed kolejną zdradą, to wychował chłopaka na wiernego sobie wojownika i sojusznika. Ukształtował go, zamienił z barbarzyńcy w Rzymianina — Seliga po raz drugi dziś się uśmiechnął i znów do

swoich myśli. — Potem powtarzano ten zabieg wielokrotnie na przestrzeni dziejów. Zdrajca powierzający syna zwycięskiemu władcy. Piękna tradycja. Pomyślałem, że to dobry pomysł...

Zamilkli. Deszczowy jesienny krajobraz przesuwał się powoli, koła cięły błoto bez pośpiechu, ale z łatwością. Silne konie pewnie nawet nie zauważały oporu, robiły to, co kazał im dziedzic Seliga delikatnymi pociągnięciami lejców. Konrad zadrżał, nagle zrobiło mu się zimno.

— Nieprędko wrócę do domu — stwierdził łamiącym się głosem.

Nagle zatęsknił do starszych sióstr, mamy, do swojego psa, do pokoju na poddaszu i kolegów, z którymi ganiał po łąkach. Nawet do szkoły elementarnej i nauczyciela, który prał ich przy każdej okazji.

— Nigdy nie wrócisz, teraz jesteś mój — odparł dziedzic po dłuższej chwili. — Tak jak te konie.

## IV

### ZIMA 1879 ROKU, OKOLICE WILNA

Józef Pawłowski nie zdążył na pociąg jadący z Petersburga do Warszawy i zatrzymujący się w Wilnie aż na pół godziny. Stracił przez to bilet na pierwszą kasę, przysługujący mu służbowo. Zatrzymali go w lokomotywni, gdzie musiał do samego końca wysłuchać paplaniny miejscowego dyrektora technicznego, bo wcześniej ten nie kwapił się podpisać wszystkie dokumenty i oddać je oficjalscie z warszawskiej centrali — taką bowiem funkcję pełnił Pawłowski. Dyrektor musiał sobie solidnie pobiadolić na nędzę i lekceważenie potrzeb lokalnych warsztatów kolejowych, które nieustannie cierpiały na braki wykwalifikowanej kadry i wiele innych rzeczy, na które zresztą Pawłowski nie miał najmniejszego wpływu. Został przez to kilka godzin dłużej i w podróż do domu mógł wyruszyć bezpośrednim nocnym połączeniem z Wilna do Warszawy. Niestety służbowy bilet dostał dopiero w trzeciej klasie, zanosilo się zatem, że kilka godzin spędzi na drzemkach, skulony na drewnianej ławce w niedogrzanym wagonie pełnym bab z tłumokami i chłopów śmierdzących cebulą i wódką.

Nieważne, jakoś to zniesie, przywykł zresztą do podróży pociągami w różnorodnych warunkach. Taką miał pracę, często wysyłano go na kontrole na stacje leżące na żelaznej drodze kolei petersburskiej. To mu nie przeszkadzało,

lubił podróże koleją, choć raczej nie nocą i nie w najpodszych warunkach.

Gdy był w delegacji, zawsze starał się znaleźć coś dla dzieciaków, choćby najmniejszy drobiazg. Książeczkę dla Flory i drewnianego konika dla Florka, innym razem słodycze albo pudełko kredek i kajet do rysowania. Maryla zawsze się piekliła, nie mówiła tego otwarcie, ale ewidentnie drażniło ją to ciągle rozpieszczenie dzieciaków przez męża. Miała wrażenie, że całą swoją miłość do niej przelał na te dwie znajdy. Powiedziała mu raz nawet, że żałuje swojej zgody na adoptowanie bliźnięt. Zabolało go to, zapiekło do żywego. Dzieci stały się dla niego jedyną osłodą życia, to dla nich pracował, dla nich się starał.

Usadowił się w wagonie, rzeczywiście zimnym jak kostnica, ale na szczęście niezbyt ciasnym. W styczniu niewielu było pasażerów zmuszonych do podróży, choć kilka osób ewidentnie wiozło towar, by rankiem sprzedać go na warszawskim targowisku i w południe wrócić pociągiem do Wilna. Naprzeciw usadowiły się dwie typowe przekupki, pulchne, zakutane w kapoty i chusty, do tego głośne i rozgadane. Miały ze sobą po kilka wielkich tłumoków każda. Prócz tego w wagonie jechał jakiś starszy jegomość, trzech robotników najemnych, zmęczonych i lekko pijanych, oraz cała, kilkuosobowa rodzina wyglądająca na cygańską.

Zanim jeszcze pociąg ruszył, Józef wstał i poszedł do konduktora. Porozmawiał z nim chwilę, przedstawił się i powiedział, że jest z centrali, poprosił grzecznie, by ten napalił im w piecyku. Konduktor chyba trochę się wystraszył, że wiezie jakąś szychę z biur kolei, i natychmiast

poleciał po całe wiadro węgla. Napalił w żelaznej kozie zamontowanej w kącie wagonu, nasypał do niej bardzo szczerze paliwa, nie żałując go nawet przez chwilę. Z samego serca starał się wyświadczyć uprzejmość Pawłowskiemu, wskazał mu nawet miejsce blisko pieca, wcześniej zwalił z niego toboły należące do przekupek.

Pawłowski podziękował, uściśnął brudną od miazgu rękę konduktora i usiadł na zdobytym miejscu. Na okna rozpędzającego się pociągu już wypełzał szron, na zewnątrz hulał bowiem lodowaty wiatr, który ciskał o szyby tumanami śniegu. Nic nie było widać, ciemność i biel. Koła łomotały rytmicznie, powietrze pachniało rozgrzaną blachą, w wagonie zrobiło się przyjemnie ciepło. Przekupki zarządziły ciszę nocną, kazały Cyganom się uspokoić, szczególnie ich dzieciakom. Wszyscy musieli się przespać, bo od świtu czekała ich robota. Zgasiły dwie lampy naftowe zamontowane w ścianie wagonu, nikt nie śmiał się im przeciwstawić. Lepiej było nie kłócić się z babami zaciągającymi po kresowiacku, nawet Romowie to wiedzieli.

Józef uśmiechnął się do swoich myśli. Włożył rękę do kieszeni płaszcza. Wyobraził sobie zachwyconą minę Florka, kiedy wręczy mu precel polany grubą warstwą lukru, co ważniejsze — uformowany w kształt konia. Dla Flory miał zestaw stalówek do pióra, przydadzą jej się w szkole. Dziewczyna pięknie kaligrafowała, w ogóle była szalenie staranna i dokładna. Józef ją uwielbiał, zastanawiał się czasem, jak pomóc jej rozwijać umiejętności. Koniecznie musiał namówić Matyldę, by od nowego roku szkolnego posłali dziewczynę do pensji dla panien.

Skończy jedenaście lat, w sam raz, by rozpocząć czteroletnią szkołę dla dziewcząt.

W piecyku huczało i trzaskało, ogień rozpałił się za mocno, Józef zatem przymknął dolny wpust powietrza. Usadowił się jak najwygodniej, oparł głowę o zgiętą rękę i zamknął oczy. W podróżach pociągami najprzyjemniejsze było usypianie. Kołysanie wagonu i równomierny stukot działały na niego jak najpiękniejsza kołysanka. Pieściło go bijące od pieca ciepło, ale nie czuł, bo nie mógł czuć bezwonnego gazu, który zaczął wydobywać się z nieszczelnej pokrywy i złączyk prowadzących do komina. Nikt od dawna nie czyścił pieca, kolej nie dbała za bardzo o wagony trzeciej klasy. Nikomu nie przyszłoby do głowy ładować do kozy do pełna cennego węgla i po rozpaleniu przymykać dopływ powietrza. Nikt zatem nie mógł przewidzieć, że od niedostatecznego spalania wytworzy się śmiertcionośny tlenek węgla zwany czadem.

Bezwonny i niewidoczny zabójca powoli wypełnił wagon. Józef śnił błogo swój ostatni sen, coraz cięższy i coraz głębszy, coraz bardziej ciemny i mroczny. Nie na darmo sen nazywany był przez poetów małą śmiercią.

Inspektor kolejowy Pawłowski zmarł we śnie, zanim pociąg dotarł do Białegostoku. Konduktor zajrzał do środka dopiero nad ranem, po dotarciu do Warszawy. Niektórych pasażerów dało się uratować, głównie dlatego, że wagon trzeciej klasy był nieszczelny i sam się wentylował. Cztery osoby jednak zgorzały na śmierć, o czym następnego dnia napisano w gazetach.

## V

ZIMA 1879 ROKU, WARSZAWA

Flora miała wrażenie, że Matylda wini rodzeństwo za śmierć ich przybranego ojca. Po tym, kiedy posłaniec z kolei przyniósł wieść o śmierci Józefa, Matylda zamieniła się w kamień. Jakby przestała oddychać, jej twarz zrobiła się nieruchoma, nie widać na niej było żalu, smutku, cierpienia, zupełnie niczego. Biła za to od niej jakaś zimna zawziętość i wyczuwalna wrogość. Nawet Florian ją spostrzegł i zrozumiał, że macocha po prostu odsłoniła skrywane oblicze.

— Nigdy nas nie lubiła. Nie jest naszą prawdziwą matką — przypomniał siostrze, kiedy oboje zmarznięci wrócili po pogrzebie do pustego mieszkania.

— Nasza prawdziwa matka też nas chyba nie lubiła, skoro zostaliśmy oddani przypadkowym ludziom. — Flora wzruszyła ramionami. — Jedyne człowiek, który nas naprawdę kochał, właśnie znalazł się na cmentarzu. Czekają nas ciężkie czasy, braciszku. Teraz naprawdę zostaliśmy zupełnie sami.

Matylda wróciła dopiero wieczorem, chwiała się na nogach i w ogóle poruszała jak staruszka. Ostatnio coraz częściej dostawała napadów bóleści, przez które łądowała w łóżku na całe dni, niezdolna do jakiegokolwiek funkcjonowania. Tego dnia była jednak zwyczajnie pijana, co za życia Józefa nigdy się nie zdarzało. Z miejsca zaczęła

wrzeszczeć na bliźniaki, nazwała je parą dziwolągów, którą Bóg ją pokarał.

— Nikt was nie lubi, dzieci z sąsiedztwa się was po prostu boją. Bękarty z piekła rodem, powinniście trafić tam, skąd was przyniosło. I ja tego dopilnuję — oświadczyła. — Byłam dziś u tej wiedźmy, Bukowskiej. Powiedziałam, by sobie wepchnęła w gardło te pieniądze, które mi czasem na was daje. Ciekawe, ile przez te lata nakradła, ile tak naprawdę przekazywała wasza prawdziwa matka tej chytrej akuszerce. Ale nich tam, nie chcę więcej tej forsy, was też nie chcę już widzieć. Jesteście jak klątwa, jak choroba zesłana za grzechy. Oddałabym każdą kopiejkę, byle Józek do mnie wrócił. Byle żył.

Padła na łóżko i rozplakała się na całe gardło. Dopiero w tej chwili jej kamienna skóra rozkruszyła się i uwolniła kotłujący wewnątrz Matyldy ból. Wyła i gryzła poduszkę, belkotała o tym, że odda wszystko, byle się to nie wydarzyło, byle znów miała Józka i by mogli żyć sobie tylko we dwoje, tak jak kiedyś.

Zostawili ją samą, zamknęli się w swoim pokoju. Flora czuła chłód i rosnący niepokój. Bez ojca byli bezbronni i bezradni, wiedziała, że nie zagrzeją tu długo miejsca. Macocha pozbędzie się ich czym prędzej, może nawet wygna przez cz, na mróz. Nie istniało prawo, które zmuszałoby ją do utrzymywania nieswoich dzieci.

Zasnęli tego dnia w fatalnych nastrojach. Następnego dnia jednak nic się nie wydarzyło, Matylda jedynie znów skamieniała, patrzyła tępo w okno i nawet się do nich nie odezwała, a potem poszła na targ. Jako wdowie po urzędniku kolejowym przysługiwała jej niewielka renta

wypłacana przez kolej, ale niepozwalająca na utrzymanie i wykształcenie jeszcze dwójki dzieci. Powiedziała im to przed wyjściem, jakby więcej nie zamierzała karmić bliźniaków.

Wybrali się do szkoły, gdzie już rozeszła się wieść o ich kiepskiej sytuacji. Niczego to jednak nie zmieniło, nauczyciele byli tak samo surowi i zniecierpliwieni ociężałością umysłową Florka, jak zwykle. Trudno było przejmować się losem robotniczych dzieci, przecież w tym środowisku co chwilę wydarzały się nieszczęścia: ludzie ginęli w wypadkach, umierali na suchoty lub przez niedożywienie. Kto by się kłopotał losem pary nic nieznaczących bliźniaków?

Po powrocie do domu zastali czekającą w bramie szczupłą kobietę o ptasiej twarzy. Przedstawiła się jako akuszerka Bukowska, poleciła im się spakować i to szybko, nie miała bowiem czasu na cackanie się z dziećmi.

— Zwykle moje sprawy z tymi, co przyjmuję na świat, kończą się zaraz po porodzie — powiedziała, kiedy szli za nią, niosąc tobołki z ubraniami. — Odkąd jednak zachciało mi się parać pośrednictwem z umieszczaniem niechcianych pociech, miewam masę problemów. Tyle zachodu za marny grosz, szkoda gadać. Nie warto, nie warto. Ale co zrobić, zobowiązałam się, przyjąłam za was opłatę, to teraz mam kolejny problem na głowie.

Umieściła ich w ciasnym pokoiku, w którym znajdowało się łóżko porodowe na wysokich nóżkach i z surowych dech, bez siennika, by łatwo było je umyć z płynów po pacjentce. Mieli tu spędzić tylko kilka dni, przynajmniej taką miała nadzieję. Usiedli zatem oboje na łóżku,

w pokoju z jednym małym okienkiem wychodzącym na szare podwórko. Z sufitu zwisały płaty odłóżającej farby, tak samo jak ze ścian, głównie dlatego, że ściany były wiecznie zawilgotniałe. Przez jakiś błąd budowlany deszczowa woda często wdzierała się do wewnątrz i mimo kolejnych malowań ścian na tych pojawiały się zacieki i grzyby, potem zaś farba odłaziła. Psuło to nieco Bukowskiej wizerunek jej małej kliniki położniczej, ale się nie przejmowała. Pacjentki zwykle i tak nie miały wyboru.

Zabroniła im wychodzić, skończyło się chodzenie do szkoły elementarnej, przynajmniej na jakiś czas. Przynosiła im to samo jedzenie, zakupione w pobliskiej garkuchni, co klientkom czekającym w sąsiednich pokojach — miała bowiem trzy pacjentki oczekujące na poród. Wszystkie przebywały tu w dyskrekcji, więc nie opuszczały swoich izb i nie interesowały się dziećmi z sąsiedztwa.

Po kilku dniach straszliwej nudy, godzin spędzonych na rysowaniu w kajecie i grze w małe szachy, które kiedyś Józef przywiózł im aż z Krakowa, wreszcie doczekały się zainteresowania ze strony świata. Pani Bukowska pojawiła się cała rozszczębiotana i krańnięjąca z zadowolenia. Przyproceedziła ze sobą jegomościa wyglądającego na urzędnika, odzianego w płaszcz i skórzane rękawiczki, w cylindrze na głowie i z laseczką gentlemiana w dłoni.

— Jestem profesor Maniecki — przedstawił się dzieciom, jakby rozmawiał z sobie równym. — Zabiorę was stąd w bezpieczne miejsce.

Nie wzbudził zaufania Flory. Na twarzy miał dziwne zaczerwienienie, plamy wyglądające jak blizny

oparzelinowe, które nadawały mu aparycji oprycha spod ciemnej gwiazdy. Mimo że odziany był elegancko i bogato, wcale nie wyglądał jej na profesora.

— Co to znaczy? Gdzie jest to bezpieczne miejsce? — spytała.

Patrzył chwilę to na jedno, to na drugie dziecko, jakby szukał czegoś w ich wyglądzie.

— Macie włosy swojej matki, tak samo płowe, prawie białe — powiedział. — Ciekawy jest aspekt dziedziczności, to, jakie czynniki go przenoszą na kolejne pokolenia. Nadal to jedna z wielu zagadek nauki.

— Znał pan naszą matkę? Może jesteśmy spokrewnieni?

Pokręcił przecząco głową.

— Nie jesteśmy, ale wiem, gdzie się znajduje. Zabiorę was do niej.

Lato 1868 roku. Adrianna ucieka od Witolda, bogatego, ale okrutnego ziemianina, który pojął ją za żonę, ale zamiast kochać, tresował jak jedną ze swoich klaczy. Uciekiniarka rodzi bliźnięta, Florę i Florka, które porzuca u akuszerki. Latami ukrywa się w małym gospodarstwie na granicy puszczy, gdzie zajmuje się zielarstwem, kontynuując pracę naukową zmarłego ojca.

Dzieci dorastają, świat się zmienia. Emocje targające Adrianną i Witoldem także. Po latach ścieżki okaleczonej żałami i nienawiścią rodziny znów się krzyżują. Czy po tym, czego doświadczyli, możliwe jest pojednanie? Czy porzucone dzieci, maltretowana kobieta i skrzywdzony mężczyzna mogą sobie wzajemnie przebaczyć?

*Kolejna znakomita powieść Weroniki Wierzchowskiej, która od lat zachwyca swoje Czytelniczki, przenosząc je w świat porywających intryg i dworskich romansów.*

## **Weronika Wierzchowska**

– chemiczka, przez lata pracująca w korporacji farmaceutycznej, a później w firmie kosmetycznej.

Uwielbia eksperymentować i mieszać, zarówno w chemicznych reaktorach, jak i życiorysach wymyślonych przez siebie postaci. Fascynują ją historie związane z zapomnianymi Polkami, perypetie pań z dawnych epok często zestawia z losami współczesnych, niezwykłych kobiet. Autorka wielu popularnych powieści, m.in. „Desperatek” i „Francuskiej dwórki”, wydanych nakładem wydawnictwa LIRA.



[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L I R A**  
WYDAWNICTWO

ISBN: 978-83-67915-94-6



cena: **49,99 zł**  
(w tym 5% VAT)